

życiem jej istnieniu. W godzinę śmierci tylko czujemy jej tajemniczy szelest.

— Nawet wtedy — gdy tak jak ja — nie boimy się tej śmierci?

— Nawet wtedy! — wyskandował z mocą Marek.

Nagle ogarnęło nim coś co zatargało wszystkimi jego fibrami, całą duszą, całym człowieczym jestestwem. Bolesna jasność oślepiła jego mózg. Wyraźnie zarysowana wizja przedarła duszę potęgą piorunu, spaliła ją do cna. Wyjęła wszystko inne, jak niepotrzebne chwasty, wszystkie myśli i uczucia — została sama jedna groźna, wielka i naga, potężna, nieuchronna — jedyna.

Błyskawica wizji! Piorun wizji! Śmiertelna cisza wizji!

Szarpnął się. Dusza jego wstąpiła w inne światy. Oto namaluje obraz: *największy obraz świata!* który położy się piramidą na drodze zmechanizowanego życia, który w proch zetrze Nilmani Kundu, który przywróci normalny bieg stuleciom! Namaluje trwogę przed śmiercią, trwogę człeczkiej okruszyny przed niewzruszoną potęgą, trwogę rozdieranego gołębia.

Oto medjum, oto kobieta, która posłuży do tego świętego celu.

— Arma! Arma! — krzyczał Marek.

Stracił przytomność.

Wyszarpnął sznur, który przytrzymywał portjerę i okręcał nim białą szyję Army.

— Co robisz Marek? Marek! Marek! — charczała.

Zwalił jakąś zawieszoną, olbrzymią reklamę — Arma zawisała na haku.

Śmiertelne przerażenie wysadziło jej oczy z orbit. Napływały krwią. Obwisłe ręce dygotały. Ze ściśniętego gardła wydobywał się charkot śmiertelnie przestraszonego zwierzęcia.

Marek szalał. Szalały jego myśli, czucia, mózg, szalały jego puls, nerwy, ręce.

Płomienne plamy spadały jak grad na płotno: dwie, cztery, dziesięć — czerwone, czarne, żółte.

— Jeszcze krzyczał nieprzytomny Marek. — Oto człowiek boi się śmierci! Jeszcze! Jeszcze!

Wśród ognistych płam wykwiła tarcza wykrzywionej twarzy. Wydęte strachem gardło. Podniesiona krzykiem trwogi pierś. Zjeżone niesamowitą bojaźnią płomienie włosów. Na skroniach supły granatowych żył.

Minuta, dwie. Jeszcze! Jeszcze strach, jeszcze żyje. Jeszcze jeden zwierzęcy paroksyzm. Sznurki żółtawej piany, sine usta.

I już tylko policzki jak wosk. Jak wosk.

Ostatni dygot zawieszonego ciała.

Ostatni dreszcz.

Ostatni zduszony charkot. Jeden oddech.

I już tylko śmierć.

Śmierć na ścianie i śmierć na sztaludze.

Urzeczywistniła się potworna wizja.

Marek wyczerpany szaleństwem rąk — nadludzką pracą nerwów — runął bezwładny na ziemię.

Na haku wisiała największa miłość jego życia: Arma.

IX.

Codziennie o godzinie pół do ósmej rano, dwunastej w południe i siódmej wieczorem, wszystkie aparaty całego świata przez dziesięć minut, zajęte były przez pięć „Central prasowych”. Cały glob otrzymywał najświeższe telegramy, esencjonalne wiadomości i ilustrowany przegląd poprzedniego dnia. Gazet nie było.

Jeżeli ktoś nie mógł lub nie miał czasu w ciągu tych dziesięciu minut odczytać wiadomości to specjalny aparat notował je, a załączone mówiące radio-filmy utrzymywały ilustracje.

Nazajutrz rano punktualnie o godzinie pół do ósmej mieszkańcy Stanów Zjednoczonych zobaczyli przez telewizory najniespodziewaniej obraz. Przez parę minut patrzono nie rozumiejąc. Ale gdy zaczęto nagle wśród szalonego chaosu płam, odgadywać kształty, gdy rozpoznano maskę wykrzywionej okropnie twarzy, oczy opływające krwią strachu, ręce szukające w bezwładnej pomocy, gardło wezbrane śmiertelnym bulgotem przerażenia, gdy wreszcie odczytawszy czerwony napis: „*Strach przed śmiercią*” zrozumiano o co chodzi, gdy umieszczone w rogu nazwisko Marka Chevreuila cięło nagle wszystkich przez mózg — naoslep, naodlew, przeraźliwą błyskawicą — zamarty wszystkie serca, ludzie z krzykiem uciekali od telewizorów, zbieżali, przeżalone wargi trzęsły się, drżały jak u niemowląt, ręce szukały oparcia — płucem zabrakło nagle oddechu, oczom zabrakło światła, szalały nerwy, gubiły się nieprzytomne myśli, krew ścinała się w żyłach — do pulsów nadpływały bryłki lodu, dreszcz trząsł ludźmi jak wiatr drzwami. Silniejsi jeszcze raz podchodzili do telewizorów, otwierali szeroko źrenice — aż

oczy im wychodziły z orbit — ale po chwili znów uciekali w popłochu.

Strach! Strach! Strach przed śmiercią — opętał wszystkich, obezwładnił, ujarzmił.

Nilmani Kundu stał przed swoim telewizorem. Początkowo obojętnie patrzył na obraz.

Potem otchłanie jego oczu rozszerzały się — rozszerzały — ciało przeniknęło dreszcz — usta wykrzywiło przerażenie.

— Arma? — Tak! Arma!

W rogu pełzały czerwone litery nazwiska: „Marek Chevreuil” — pełzały wolno jak pijawki opite ludzką krwią!

— On! Marek Chevreuil, malarz. On to zrobił! Hindus — drżącymi palcami — wyszukiwał w księdze adresowej lotnisk — nazwisko Marka. — Litery i cyfry jak skłębione owady wirowały przed nim. Oczy Hindusa przelatywały po stronicach szybko, szybko jak ptaki za żerem.

— XII. D. 303. — XII. D. 303.

Za trzy minuty lądował.

Nakazał nerwowo spokój.

Wszedł do pracowni Marka.

Zobaczył oryginał odbitki, oglądany przez telewizor: wiszącą na ścianie Armę.

Staluga była pusta.

Marek leżał na podłodze — wpatrzony w twarz wiszącej, spokojny, wyczerpany, bezwładny.

Ostatni wysiłek: odesłanie obrazu do centrali prasowej — był już poza nim.

Hindus wdarł się w duszę Marka spojrzeniem, w którym zamknęło się całe jego życie.

— Coś zrobił Marku? — upadły zmierzchnięte smutne słowa.

— Powiesiłem swoją największą miłość — wyszeptał ostatnim szelestem wysiłku.

— Dlaczegoś to zrobił Marku?

— Aby zadać kłam twoim słowom — aby zabić mechanizację życia — aby znów obudzić pokorę przed niezłomną potęgą, aby wskrzesić strach przed śmiercią.

Odejdź fałszywy proroku! — szalony magu! — pomyłony doktorze! — krzyczał Marek.

— Błądzisz! — uśmiechnął się smutnie Nilmani Kundu. Nie do mnie należy sąd. — Świat ciebie osądzi.

Spojrzał na ścianę.

Na haku wisiała największa miłość jego życia: Arma.

X.

Tego dnia wielu ludzi nie stanęło do pracy. Aeroauta gnuśniały beczynne na lotniskach. Mniejsze fabryki, funkcjonujące przy minimum obsługi ludzkiej — stanęły. Ludzie obsługujący maszyny — nie zjawili się.

Ruch w powietrzu zmalał stokrotnie. Przejeżdżały puste, jakby wymarłe omnibusy. Statek powietrzny „Columbus” mimo, że rozsprzedał wszystkie bilety — odjeżdżał tego dnia prawie, że nie zajęty — do Stanów Europejskich. Inne statki także.

Ludzie mimo dzwonek, sygnałów nie podchodzili do telewizorów. Bali się ujrzeć rannego upiora. Sklepy i magazyny opustoszały.

Upiorny strach ścisnął lodowatą ręką miliony serc. Obraz Marka położył się piramidą nie do przebycia — na gościńcu zmechanizowanego życia. Stał się szatańską tamą na drodze zdobyczy ostatnich dziesiątków lat.

Punktualnie o godzinie dwunastej w południe „Amerykańska Centrala Prasowa”, w krótkich słowach podała do publicznej wiadomości wstrząsający wypadek: Marek Chevreuil, największy malarz amerykański z niewiadomych powodów zamordował Armę Markham, córkę przemysłowca, obecnego ministra komunikacji Zjednoczonych Stanów Ameryki. Nilmani Kundu był pierwszym człowiekiem, który wtargnął do pracowni malarza i zobaczył Armę Markham, wiszącą na haku.

Nic więcej. Krótki telegram.

Ale tylu parę słów wystarczyło, ażeby przestraszony tłum zakotłował się, rozszalał, wzburzył.

Morderstwo w Stanach Zjednoczonych? Morderstwo „z niewiadomych powodów”? Marek Chevreuil to zrobił? A potem ten piekielny obraz! Ta szatańska trucizna! To szaleństwo strachu — przed śmiercią! Ten obłąd bojaźni! To delirium przerażenia.

Tłum wznosił pięście! Miliony pięści! Dziesiątki milionów! Setki milionów! Rozedrzeć na strzępy! Rozdmuchać popiół na cztery strony świata, żeby nie pozostało nic! Nic! Żadna okruszyna! Żaden pył! Żadno wspomnienie! Zgnieść tego robaka! Zdeptać tę pijawkę!

Kołysał się rozszalały tłum.

Od dziesiątków lat nie było żadnego morderstwa. Bestja w ludziach skonała!

Skąd dzisiaj? Z jakich powodów? Dlaczego?

Tłum wrzeszczał. Tłum wyl.

W jakiejś szalonej chwili jedno słowo zatargało Stanami Zjednoczonymi jak trzęsienie ziemi, jak wybuch wulkanu i rozlało się potopem po całym obszarze Ameryki.

— Sądu!

Niesłyszane od długich lat słowo przeszło powietrze jak karzący piorun.

O tej godzinie cztery inne centrale świata wyświetliły obraz i podały wstrząsający telegram.

— Sądu! — odegrzmiało z dalekich przestrzeni z za oceanów i gór — białe, żółte, czarne i brązowe echo.

Marek Chevreuil leżał bezbronny, smutny i wyczerpany w rogu swojej pracowni.

XI.

W dzielnicy 115, na południowych peryferjach Nev-Yorku — hektary olbrzymiego obszaru — zostały przeznaczone pod budowę gmachu sądowego. Rósł pierwszy w Ameryce — stu osiemdziesięciopiętrowy drapacz.

Paliły się maszyny, windy, aparaty, rosły piętra jak grzyby po deszczu, szalały nieliczne ludzkie ręce, nakręcające i regulujące cały mechanizm. Rósł kolos w przepychu platynowych płyt jako najodporniejszych i najpraktyczniejszych z wszystkich materiałów budowlanych.

Zaprowadzono telewizory, radja, zimne elektryczne promienie — kolos tężał, rozrastał się — wszcz, wzwyż, w głąb, kolos stokrotnie, pęczniał, strzelał w górę, bił w niebo, już teraz dumny z roli, którą niedługo odegra. Co dwa dni aparaty wyświetlały postęp robót i wzrost budowy.

Ludzie z uczuciem ulgi, patrzyli na kolosa. Na płaskim dachu rozsiadło się olbrzymie lotnisko — powietrzny port.

W przeciągu miesiąca, w dzielnicy 115, stanął gotowy olbrzym, poważny, skupiony, zimny, ocierający czaszkę o strzępy nisko wiszących obłoków.

Wreszcie po długiej niecierpliwości, po szaleństwie oczekiwania — jednego dnia o godzinie pół do ósmej rano Amerykańska Centrala prasowa wysłała do wszystkich radio-stacji na obszarze Stanów Zjednoczonych lakoniczny telegram: „Budynek Sądu skończony”.

Ludzie wysłuchali wiadomości bez oddechu. Zadygotały serca. Wstrząsnęły się napięte jak struny nerwy.

Tego dnia o godzinie dwunastej w południe cztery inne centrale: biała, żółta, czarna i brązowa, powtórzyły lakoniczny telegram:

„Budynek Sądu skończony”.

Mimo, że przez cały ten okres ludzkość całego globu w oburzeniu i wściekłości szalała — mimo, że padły głosy, aby wskrzesić obyczaje dawnych wieków i aresztować Marka Chevreuila — godności ludzkiej nie skępowano, nie wleczono jej jak wysortowany łach przed forum publicznego posmiewiska — nie potrącano i nie skuto kajdanami.

Marek Chevreuil wolny czekał na dzień sądu. Przepędzał beczynn timerziny godziny w swojej pracowni. Nie dostawał zamówień na reklamy.

Był sam jeden na całym globie — na całym wszechświecie.

Nie widział ani jednej wyciągającej się do niego ręki, nie widział ani jednej pary życliwych oczu, nie słyszał ani jednego przyjaznego słowa.

Stał sam jeden na piramidzie ludzkiej wzdargdy.

Dzwonki jego telewizorów zamarty — oprócz automatycznie działających — połączonych z centralą prasową.

Co dwa dni biegł do aparatu i spokojnie oglądał wzrost budynku.

Nie wychodził ze swojej pracowni.

Czasami tylko nocą — gdy pustoszały linie powietrzne — wsiadał do aeroauta i jechał nad dzielnicę 189.

W dole — pod nim — połyskiwały spokojnie, niby strażnicze światła, płasko ułożone ognie:

„V. M. 784.

Kołował tak długo jak zabłąkany, bezdomny, od wszystkich opuszczony pijak, a z oceanu jego człowieczeństwa beśsiły, wyrwał się cichy, zdumiony do głębi smutny poszum:

— Arma.

Kołował tak godzinę, dwie, sam nie wiedział jak długo.

Niekiedy spotykał drugi kołujący statek.

Równie smutny i zabłąkany.

Statek — Nilmani Kundu.

XII.

Dzień sądu nadszedł.

Na olbrzymie lotnisko zjeżdżały statki wyrzucające ze swego wnętrza tłumy pasażerów.

Statki o flagach Stanów Europejskich, Azjatyckich, Afrykańskich i Australijskich.